

Biuletyn Rozgłośni „Kraj”

Nr 4 (13)

Warszawa 1 luty 1956 r.

Rok II

Biuletyn rozgłośni „Kraj” zawiera najciekawsze i najistotniejsze pozycje naszych codziennych audycji skierowanych do Polaków na całym świecie.

Jeżeli pragniecie uzyskać jakieś informacje, jeżeli chcecie nawiązać kontakt ze swoimi bliskimi w Polsce, jeżeli macie jakiegokolwiek wątpliwości — słuchajcie naszych codziennych audycji i piszcie do nas pod adresem:

Rozgłośnia „KRAJ” — Warszawa — Polska.

Odpowiemy Wam bądź przez radio, bądź listownie.

JANUSZ WOLSKI

Po tej i tamtej stronie Łaby

W tych dniach parlament Niemieckiej Republiki Demokratycznej powziął Uchwałę o utworzeniu Narodowej Armii Ludowej NRD. Jest to niewątpliwie wydarzenie polityczne o dużym znaczeniu. Nas zaś, Polaków, interesować musi szczególnie, jak wszystko, co dotyczy kwestii niemieckiej. Historia bowiem uczy, że nic, co dzieje się w Niemczech, nie może być nam obojętne.

Już sam moment utworzenia Armii Ludowej w NRD wskazuje na źródła tego postanowienia. Zostało ono powzięte bezpośrednio po narodzeniu się w Niemczech zachodnich pierwszych formacji wskrzeszonego Wehrmachtu. W tym samym czasie, kiedy Izba Ludowa NRD debatowała nad projektem ustawy o powołaniu do życia Armii Ludowej — kanclerz Adenauer odbierał defiladę pierwszych jednostek nowego Wehrmachtu.

Charakter i oblicze ideowe tej armii zachodnio-niemieckiej są już dobrze znane. Powstała ona jako narzędzie agresywnej i odwetowej polityki państwa zachodnio-niemieckiego. Imperialistyczne dążenia i hasła rewizjonistyczne głoszone są tam jawnie. Kola rządzące w Bonn nie ukrywają swych pretensji do ziem polskich nad Odrą, Nysą i Bałtykiem. Wystarczy wziąć do ręki jakikolwiek atlas szkolny wydany w NRF, by ujrzeć mapy, gdzie polskie ziemie zachodnie oznaczone są jako tereny niemieckie pod polską okupacją. Nie jest to bynajmniej drobiazg, bo przecież z tych atlasów uczy się młode pokolenie Niemców na Zachodzie. To pokolenie, które wypełni szeregi odrodzonego Wehrmachtu, które dostarczy mu żołnierzy, podoficerów i oficerów. A generałów? Generałów i wyższych oficerów dostarczył już nowemu Wehrmachtowi stary Wehrmacht hitlerowski.

Na szczęście wszakże dla bezpieczeństwa i pokoju Europy znaczna część Niemiec znajduje się poza zasięgiem remilitaryzacji i wskrzeszonego Wehrmachtu. Pomiędzy Łabą a Odrą rozciąga się Niemiecka Republika Demokratyczna. Tu młodzież szkolna uczy się z innych atlasów i podręczników. Wychowano ją w pogardzie do pruskich tradycji, w pogardzie dla Bismarcka, Wilhelma i Hitlera. Wpojono w nią za to szacunek dla sąsiadów i nauczono, że granice na Odrze i Nysie są święte i nieetykalne.

Nemiecka Republika Demokratyczna poczuła się na równi z nami, Polakami, jak i Francuzami czy

ROZGŁOŚNIA „KRAJ” NADAJE CODZIENNIE

O godzinie 7.30 czasu polskiego na falach krótkich:

41,81 metra — 7 175 kc/s

49,79 metra — 6 025 kc/s

50,04 metra — 5 995 kc/s

49,06 metra — 6 115 kc/s

O godzinie 8.00 czasu polskiego na fali średniej:

407 metrów — 737 kc/s

oraz na fali krótkiej —

42,11 metra — 7 126 kc/s

O godzinie 17.30 czasu polskiego na falach krótkich:

48,43 metra — 6 195 kc/s

41,81 metra — 7 175 kc/s

O godzinie 21.00 oraz o godzinie 22.00 czasu polskiego na falach krótkich:

41,81 metra — 7 175 kc/s

49,06 metra — 6 115 kc/s

50,04 metra — 5 995 kc/s

O godzinie 00.15 czasu polskiego na falach średnich:

230 metrów — 1 304 kc/s

238 metrów — 1 259 kc/s

Belgami, Rosjanami i Czechami zagrożona powstaniem zachodnio-niemieckiego Wehrmachtu. Przecież w Bonn nie tai się zamiarów zaborczych wobec NRD. Mówi się tam otwarcie o konieczności zjednoczenia Niemiec siłą i rozciągnięcia na całe Niemcy planów remilitaryzacyjnych. W chwili więc gdy dywizje nowego Wehrmachtu zaczęły przyoblekać się w kształt realny, Niemiecka Republika Demokratyczna musiała powziąć kroki samoobrony. Narzędziem tej samoobrony jest właśnie Armia Ludowa NRD.

Powstała dzięki temu nowa przeszkoda na drodze rewizjonistycznych i odwetowych planów polityków bońskich. Gdyby generałowie wskrzeszonego Wehrmachtu zapragnęli sięgnąć po nasze ziemie zachodnie — natrafiają, po drodze, na siły zbrojne niemieckiej Armii Ludowej.

Powstanie Armii Ludowej NRD ma jednakże jeszcze inne znaczenie. Oto wzmogły się na terenie Niemiec zachodnich głosy krytyczne wobec polityki Adenauera. Ona to bowiem, polityka remilitaryzacji, doprowadziła do powstania dwóch przeciwstawnych armii niemieckich — Wehrmachtu w NRF i Armii Ludowej w NRD. Naród niemiecki rozumie teraz, że każdy agresywny krok bońskich polityków oznaczać będzie wojnę bratobójczą na terenie Niemiec. Znamienne brzmi komentarz zachodnio-niemieckiego dziennika „Westdeutsches Tageblatt” z dnia 20 stycznia:

„Uchwalenie ustawy wojskowej w NRD unaocznilo cały ogrom naszego nieszczęścia narodowego. Co należy uczynić, by uprzytomnić odpowiedzialnym za tę politykę mężom stanu w Republice Federalnej, że powierzonej im nawie państwowej nadali fałszywy kurs? Należało już dawno przeciwdziałać grożącemu niebezpieczeństwu uzbrajania Niemców przeciw Niemcom. Czujemy się przytulnie za fartuszkami zachodnich obrońców i nie widzimy, że jakiś Dulles zaprowadził nas już trzykrotnie na skraj wojny.”

Powstanie Armii Ludowej podzielać więc musi również na społeczeństwo zachodnio-niemieckie, które od dłuższego już czasu coraz krytyczniej ocenia nieobliczalną politykę Adenauera.

Wiemy już, że bez Wehrmachtu nie byłoby Armii Ludowej. Ale skoro wbrew wszelkim ostrzeżeniom obozu pokoju Wehrmacht został utworzony, dobrze się stało, że powstała też demokratyczna Armia Ludowa NRD.

Czytając „Kulturę“

Kończąc we wrześniu cykl artykułów o emigracji wyraziłem przekonanie, że sprawa nie jest zamknięta, że odbywa się tam coś w rodzaju rewizji ogólnego stanowiska, które raczej zbliża emigrację do Polski niż od niej oddala. Istotnie, już w parę miesięcy potem można było stwierdzić, że jakiś proces odbywa się tam rzeczywiście. Dzieje się to zresztą w dwóch kierunkach: z jednej strony partyjne koła emigracji, jacyś zjednoczeniowcy i bergowcy, jacyś miłokajczykowcy czy legalisci usztywniają swoją postawę i jesteśmy świadkami, jak w tym środowisku koło absurdu zaciska się ostateczna; z drugiej strony — środowiska myślące chcą do akcji repatriacyjnej ustosunkować się poważnie.

W POLSCE — CZY W PARYŻU?

Najpierw paryska „Kultura“ wystąpiła w listopadzie z niespodziewanym zaproszeniem na rozmowę sygnatariuszy sierpniowego apelu do emigracji. „Kultura“ zaprosiła nas — do Paryża... Może miało to na celu wysondowanie, jak dalece my tu, w Polsce, jesteśmy „odwilżowi“, jak dalece stać nas na „wychylenie się“. Przecież Paweł Hostowiec pisał w jesieni: „Lekkie wychylenie się jest nawet w Polsce w modzie“. Cudowne informacje mają ci ludzie siedzący o tysiące kilometrów od nas: wiedzą zawsze lepiej niż my — my tu „wychylenie się“ braliśmy na serio i okazuje się, że wyglądamy bardzo naiwnie w oczach tamtejszych intelektualistów.

Nie jestem pewien, czy tego rodzaju zaproszenie na rozmowy, wyśtosowane przez zespół ambitnego, ale nietypowego na emigracji pisma, do ludzi, którzy wyrażają poglądy 27 milionowego społeczeństwa — jest zupełnie w porządku. Był może, że byłoby o wiele naturalniejsze, gdyby tych kilka czy kilkanaście osób przyjechało pogadać o Polsce do Polski. Zwłaszcza że większość zaproszonych przez „Kulturę“ zna Paryż, a większość współpracowników „Kultury“ nie zna współczesnej Polski. Taki np. Marian Pankowski, ekspert, jak się okazało, w sprawach tego, kto z nas w kraju nurza się we krwi, a kto tego nie robi (taką „metaforę“ przesłał kiedyś pod moim adresem) — nie zawitał do kraju w ciągu dziesięciu lat ani razu, mimo że przez dłuższy okres miał do tego podstawy prawne i wszelkie możliwości. Nie, ten prosty sposób przekonania się o pewnych rzeczach i sprawdzenia swoich poglądów Pankowski wolał transpono-

wać na pole poetyckie i o wykradaniu sanockich jabłek pisać z daleka od Sanoka — w metaforze. Budzi to bądź co bądź pewną wątpliwość: czy istotnie wszystkim emigrantom, nawet tym pozornie myślącym, zależy na sprawdzeniu nowej sytuacji narodu, z którego wyszli?

Mimo całego rejwachu, jaki wokół tego czynią — może bardziej im zależy na tym, żeby tej nowej sytuacji nie sprawdzić: tak wygodniej myślom, zwłaszcza niechętnym.

PRZY KAWIE
W MAISONS-LAFFITTE

Pozwoliłem sobie wyobrazić fragment takiej rozmowy w pięknym domu „Kultury“ w Maisons-Laffitte pod Paryżem:

— Niech mi pan powie, jakie wy tam macie uczucia, obserwując na ulicach sowieckich wojskowych z garnizonów, które stacjonują w Polsce?

— Ostatni raz widziałem wojskowych radzieckich na Dolnym Śląsku. Dopiero od pana dowiaduję się, że w miastach polskich są garnizony wojskowe. O ile wiem, wojska radzieckie mają jedynie jakiś tranzyt przez Polskę w związku z utrzymaniem swoich wojsk w Niemczech.

— Aha.

Mój rozmówca z dwuznacznym uśmiechem zaciągnąłby się papierosem. Nasza wzajemna dobra wiara, istota naszego spotkania — zawisłaby w próżni, w kłębach tego ironicznego dymu.

— Chyba nie będzie pan bronił faktu prześladowania Kościoła w Polsce?

— Nikt w Polsce nie prześladowa ani Kościoła, ani religii. Powiem panu w zaufaniu, że nawet jestem zażenowany pozycją fideizmu w Polsce, któremu nawet marksizm zdaje się grzecznie ustępować pola. Wielu z nas to irytuje. Nie wierzy pan? Przed trzema laty zaproponowałem warszawskiemu teatrowi satyryków sceniczną humoreskę, której pomysł publicystyczny zaczerpnąłem z utworu Twaina pt. „List z Rachuby Niebios“. Skecz został wprawdzie zakupiony, ale do dziś nie chcą go wystawić, żeby nie obrazić naszych mieszczuchów. W Paryżu wystawiłbym to już kilkakrotnie. Cóż panu jeszcze opowiedzieć?... Moja 83 letnia babcia chodzi codziennie na ranną mszę do kościoła Karmelitów na Muranowie, gdzie mieszkamy. Obserwuję ją od lat i zapewniam pana, że jej kontakty z Pa-

nem Bogiem w niczym nie straciły na swobodzie i poufalości.

— Odebraliście Kościołowi możliwość oddziaływania na społeczeństwo. Osobiście jestem niewierzący, ale uznaję odwieczną tradycję katolicyzmu w Polsce...

— Aha, pan nie jest wierzący, ale uznaje pan tradycję... Ale czy sprawa nie przedstawia się w rzeczywistości tak: dotychczas tylko Kościół wpływał na mentalność społeczeństwa polskiego, a obecnie chce na nią wpływać i państwo. Czy pan uznaje także niejakie tradycje laickie w Polsce?

— No, pan tak mówi. Wiemy, jak rzeczy wyglądają.

— Skąd? Pan był w Polsce?

— Człowiek posiada zdolność wnioskowania na odległość.

— To godna zazdrości zdolność — zwłaszcza w stosunku do własnej ziemi, własnego narodu. Więc pan wie na odległość. Czy też pan na odległość chce to wiedzieć?

Rozmowę podyktowała wyobraźnia. Może rzeczy pójść całkiem innym trybem. Może grupa „Kultury“ zjeździe się z nami na Krakowskim u literatów, a może na Foksal u dziennikarzy... Na tle kolumny Zygmunta można równie dobrze mówić o sprawach polskich, jak na tle Sekwany i rozkraczonej wieży Eiffila, o której Koestler rzekł, że jest podobna do gigantycznej żyrafy siusiącej na miasto. Czesław Miłosz, który usiłuje być polskim Koestlerem, powiedziałby, że mamy umysły zniewolone i rozmowy z nami do niczego nie doprowadzą.

Czy zniewolenie, do diabła, polega na tym, żeby być w Polsce — czy też, żeby za wszelką cenę w niej nie być?

PUBLICYSTYKA, KTÓRĄ PRZE-
STAJEMY ROZUMIEĆ

Coraz ciekawszą staje się — z naszego punktu widzenia — paryska „Kultura“. Po zaproszeniu do Paryża sygnatariuszy apelu lipcowego do emigracji, datowanym w listopadzie — w numerze styczniowym zespół tego pisma wyłożył, jak to określa artykuł Mieroszewskiego, karty na stół.

Czytaliśmy programowy artykuł Mieroszewskiego — przynajmniej ja go tak czytałem — z zainteresowaniem. Mieszają się w to i jakas satysfakcja i przygnębienie. Trudno nie czuć satysfakcji, kiedy Mieroszewski definiuje właściwe znaczenie i zakres oficjalnej działalności emigracyjnej. Proszę posłuchać:

„Nasi przywódcy partyjni nie-mal od dwudziestu lat przeby-wają za granicą, a w Kraju w

tym okresie zasłły przemiany trudne do wymierzenia. Wskutek tego nie wiemy, czy polityczną reprezentują oni przebrzmiałą tradycję — czy żywe siły narodu. Nie wiemy, czy reprezentują większość, czy znikomą mniejszość. Nie wiemy, czy poza sobą i komitetami, którym przewodzą — reprezentują kogokolwiek...“

Należy to czytać: wiemy, że nie reprezentują absolutnie nikogo — i to miał na myśli autor. Ale tak jak te partie z wywodów Mieroszewskiego działają pozytywnie, tak inne zaskakują. Kiedy Mieroszewski w swoim programie działania politycznego w stosunku do kraju zakłada, że nie ma mowy o Polsce niepodległej, że jest tu noc okupacji — wówczas odnosi się wrażenie, że Mieroszewski czyni na czyjąś rzecz koncesję, jakieś ustępstwo ze swej, po prostu, inteligencji. A więc znowu następuje to znane w stykaniu się pojęć kraju i emigracji uderzenie głową o tępy mur.

Sytuacja jest dziwna. Ludzie w Polsce — a przecież mam w tej Polsce, jak każdy, dosyć typowe znajomości w każdym środowisku i znam masę osób w ich życiu codziennym — otóż ci ludzie w Polsce ani się orientują, że są pod okupacją. Ale wie to na pewno z londyńskiej perspektywy Mieroszewski. Sytuacja po stokroć dziwna. Życie tutejsze ma pełny wymiar, jest rozpięte w pełnej skali wzruszeń i zainteresowań i potrzeb zwykłych człowiekowi. Może w Londynie czy w Paryżu wyobrażają sobie, że mięśnie naszych twarzy nie znają całej skali uśmiechu? To nie byłoby dziwne; pamiętam, że Hostowiec, pisząc o spotkaniach z młodymi ludźmi z Polski, dziwił się naiwnie, że zachowują się i wyglądają normalnie. Nie, my naprawdę nie nabraliśmy od komunizmu jakichś cech zewnętrznych, tak jak ustrój nie pozbawił naszego istnienia naturalnych konfliktów. Tyle tylko, że nasze istnienie zyskało jakiś dodatkowy, dalekosieźny sens. Coś w tym ustroju musi być, jeżeli ludzie potrafili dla niego umierać. Ale jeszcze dobitniejszym argumentem wydaje się nie śmierć, a życie niektórych ludzi. Są u nas tacy ludzie, których życie jest przejrzyste, a czynne do jakiegoś zaskakującego maksimum i świadome: życie strzeliste, chciałoby się powiedzieć, jak drzewo zasadzone własnymi rękami w własnym ogrodzie. Gdy stałem niedawno nad trumną Wiktora Grosza, przytłaczał mnie absurd tej śmierci. I od-

czuwałem silnie jeszcze coś więcej: że w całości tego życia, o którym Stanisław Wittkiewicz powiedziałby, że zostało przerwane jak bywa przerwana w pół zdania namiętna rozmowa — zawiera się olbrzymiej miary argument za naszą koncepcją. Gdyby doszły mnie w owej chwili jakieś głosy z emigracji, jakieś pretensje z tego marginesu istnienia — naprawdę nie byłbym w stanie wziąć ich na serio: to jakieś warczenie, jakiś kwik — takiego choćby Bielatowicza, który żąda z Londynu zburzenia Nowej Huty. Naprawdę, niekiedy trudno zdobyć się na tyle dobrej woli, żeby z tego rodzaju programem „polskim“ podejmować dyskusję.

W pewnej fazie rozumowanie emigracyjne staje się dla nas po prostu niedostępne, przestaje do nas docierać. Z jednej strony cytowany już Bielatowicz zajmuje się teoretycznym burzeniem miast polskich, z drugiej taki Józef Mackiewicz konstatuje ogólne wzmożenie życia narodowego kraju. Przypomnę tę wypowiedź pna Mackiewicza z artykułu „Kukurzydza“.

W londyńskich „Wiadomościach“ z 1 maja 1953 r. Józef Mackiewicz pisze:

„W kraju polskość nie tylko nie podlega żadnej dyskryminacji, ale przeciwnie, windowana jest w walce z kosmopolityzmem na wyżyny nieraz naiwne...“

Czasem wydaje się, że na emigracji obowiązują jakieś specjalne reguły logiczne. Wróćmy do Mieroszewskiego.

EMIGRACJA ROZPOZNAJE
POLSKĘ

Mieroszewski wyłożył, jak powiada, karty na stół. Ale czy to było odkrycie kart w stosunku do reszty ugrupowań emigracyjnych, czy w stosunku do nas w kraju? Bo jeżeli w stosunku do kraju, to co najmniej dziwne jest ostentacja autora, z jaką te zabójcze dla nas karty odkrywa.

Mieroszewski deklaruje, że stronnictwa emigracyjne nie mają żadnej polityki w stosunku do kraju, natomiast ma, czy będzie ją miała grupa „Kultury“. Tyn programem, jaki wyklada Mieroszewski, byłoby coś w rodzaju unowocześnionego wallenrodyzmu, polegałby on na unieszkodliwieniu komunizmu przez rozsadzenie go od wewnątrz, przez nasycenie partii jakąś antykomunistyczną, a sobie tylko znaną treścią. Słowem, chytrność Mieroszewskiego — jakty powiedział Wiech — jest niemczębna. Jeżeli

jednak grupie „Kultury“ istotnie chodzą po głowie takie podstępne fortele, to nie powinien on nas przed nimi ostrzegać...

Między nami mówiąc nie bardzo chce mi się wierzyć w te przebiegłe zamiary paryskich intelektualistów. Oceniam artykuł Mieroszewskiego jako objaw pewnej gry nie w stosunku do nas, ale w stosunku do oficjalnej opinii emigracyjnej. Jest to alibi wobec „nieprzejeźdźnych“, gra na zwłokę. Kulturowcy nie mogą tak od razu wyrzec się tej bazy działania, bazy przede wszystkim ekonomicznej, którą daje im emigracja — wprawdzie nie ortodoksyjna, ale w każdym razie emigracja. A jakie jest działanie tej grupy?

Myszę mianowicie, że polega ono i będzie coraz wyraźniej polegać na stopniowym rozpoznawaniu tej wielkiej niewiadomej, jaką dla najinteligentniejszego nawet emigranta jest Polska. Grupa ta zrozumiała wreszcie, że ich wiadomości, zyskane metodą dedukcji z palca, nie stanowią znajomości całkowicie nowego kraju i poddanego przemianom społeczeństwa. Dotychczas nie starczało odwagi, żeby do tego się przyznać. Tylko Hostowiec w każdym swoim nowym eseju wprowadza — jak to określa — poprawki do obrazu kraju. W ostatnim np. pisze:

„Podczas kilkunastu lat nieobecności i braku żywego kontaktu z krajem wytworzyłem sobie jego mniej czy więcej fantastyczny obraz, zlepiony z wspomnień i przypadkowych fragmentów późniejszych wiadomości. Widząc, z okazji odprężenia, kilku dawnych znajomych z kraju spostrzegłem, że zrozumienie ich słów, nawet gdy mówią o sprawach czysto prywatnych i losach wspólnych znajomych — wymaga wprowadzenia do tego obrazu paru poprawek.“

Trudny i nie prędki proces rozpoznania obrazu Polski dobiega wreszcie końca. Winny go popychać naprzód jak najczęstsze kontakty, przede wszystkim kontakty z tym, czego trzeba dotknąć, zobać, doświadczyć nerwami. Obraz to rzecz, którą się ma przed oczami. My obraz kraju mamy codziennie w oczach, sami swoją osobowością, swoim najpospolitszym działaniem jesteśmy wpisani w ten obraz i dlatego nasza niecierpliwość jest równie zrozumiała, jak emigracyjna ostrożność.

Myśl z za oceanu

Przed kilkoma tygodniami mówiłem o znanym przed wojną piarzu polskim — o Witoldzie Gombrowiczu. Przypomnę słuchaczom, że zostawiliśmy go wówczas w ubikacji jednej z kawiarni południowo-amerykańskich, gdy zaspokajając dziwną zachciankę wypisuje brzydkie słowa na ścianie. O takim to wyczynie mówiły fragmenty pisarskiego dziennika Gombrowicza.

Fragment ten nie obudził we mnie, ani chyba w nikim tutaj w kraju, jakiegoś niezadowolonego zadowolenia. Żadnego: „Dobrze mu tak, emigranckiemu pisarzowi!“ Wprost przeciwnie, gdy to przeczytałem, zrobiło mi się bardzo przykro i bardzo smutno. Wcale nie jest tak, jak ludzie na emigracji sobie wyobrażają, że my tutaj, zażarci i zaślepieni, cieszymy się z każdego ich niepowodzenia, z każdego upadku i każdej słabości. Jeśli chodzi o większość ludzi na emigracji, o wielu pisarzy, artystów, uczonych i zwykłych ludzi, pragnęlibyśmy ich powodzeń i sukcesów. Złoszczą się oni na nas nieraz. Przeważnie za to, że im niedyskretnie odkrywamy przyczynę choroby toczącej ich dusze, że im mówimy o porzuceniu ojczyzny. Dla tych ludzi brak ojczyzny stanowi główną przyczynę smutków, rozpacz i żalu.

Chcielibyśmy podchwycić w ludziach emigracji każdy przebieg myśli nowej, wyrwującej ich z torów, po których dotychczas beznadziejnie krążyli. I dlatego z taką

ochotą podejmujemy pewne słowa, nowe słowa i nową myśl Gombrowicza, którą znajdujemy w ostatnim numerze „Kultury“.

Z całą świadomością odrzucam wszelkie przymiotniki, którymi Gombrowicz opatruje naszą tutejszą współczesność. Te słówka „poune“, „upokarzające“ i inne z tego cyklu — to są pierwsze krople z pucharu. Rzymianin, pragnący napić się winą strząsał kilka kropel w holdzie bogom. Piszący na emigracji w każdej swej wypowiedzi musi kilka słów poświęcić Molochowi antykomunizmu. No cóż, taki rytuał. Nie zastanawiając się nad rytuałem, szukajmy tego, co nowe i nierytualne. Mówiąc o naszej współczesnej, polskiej rzeczywistości, Gombrowicz stwierdził:

„...ma ona jedną właściwość niezmiernie twórczą: jest dotarciem do dna. Dotychczasowa kultura polska była wytworem warstwy wyższej, żyjącej życiem zlagodzonym — więc ta kultura była nieskuteczna poza swoją sferą. Życie polskie mogło być zrewidowane tylko od podstaw — ale to zadanie przewyższało siły naszej „superstruktury“. Otóż czasy dzisiejsze w Polsce są pierwszym w naszej historii przeoraniem bytu polskiego do głębi, do najniższych jego pokładów.“

Dlatego myślę, że nigdy nie działo się w Polsce tyle co teraz ani tak fundamentalnie. Ale ten

brutalny proces odbywa się w milczeniu: on jest głosem, on jest faktem...“

Staram się, jakże nieskutecznie, dotrzeć do jądra myśli emigracyjnej. Wyprawy w tę stronę skazane są na niepowodzenie. Dlatego cytuję tutaj Gombrowicza. W jego kielichu, po strąceniu owych kropel przesądu, dostrzegam wino tegie i mocne. Jest w tych niewielu słowach rezultat jakiegoś wielkiego wysiłku myśli, myśli, która nie całkiem osiąga cel, ale która zmierza do ostatecznego rezultatu, jakim jest postanowienie zrozumienia tego wszystkiego, co się tutaj odbywa, co się tutaj staje, faktów, o których pisze Gombrowicz, że są w jego rozumieniu nieodwołalne.

Dodajmy, że taką analizę tworzy dla siebie człowiek, którego nie ma w Polsce już siedemnasty rok. Nie wiem, czy wie, jak wiele powieźdźiał słusznej prawdy. Braki naszej literatury, naszej sztuki, naszego dziennikarstwa na tym polegają, że brak nam często sił i talentów dla oddania tego wszystkiego, co się tutaj dokonuje. I trzeba przypuszczać, że w ogóle nie ma takich sił intelektualnych i pisarskich, które by uchwyceniu wszystkiego podołać mogły. Dzieje się tak wiele jak nigdy.

Pozostaje między nami sprawa oceny tego, co się dzieje. Ostre szkła mogą pozwolić uchwycić okiem zarysy dalekiego przedmiotu. Patrzącemu z daleka zazwyczaj umyka barwa tego, co obserwuje. Gombrowicz dostrzega kształt naszej rzeczywistości. Nie dziwię się, że z tak dalekiej odległości lat i kontynentów nie ocenia właściwie barw i blasków.

dali przygotowaniem do powstania charakter walki ludowej o wyzwolenie narodowe i społeczne, łącząc przy tym polskie dążenia wyzwolenicze z podobną działalnością rewolucjonistów innych narodów. A ponieważ trudno było oskarżać i piętnować oszczerstwami jawnych bohaterów i patriotów, którzy całym swoim życiem i najwyższą ofiarą zdobyli sobie miliony serc, więc zastosowano znowu milczenie, względnie przeinaczenia i bagatelizowania faktów. Obóz polskiej reakcji najpierw sabotował przygotowania do wybuchu, później odebrał walce charakter rewolucji społecznej, po przegranej zaś usiłował wynagrodzić sobie poniesione straty przedłużaniem teorii o prymacie wyższego kleru, szlachty i magnaterii, rzekomo obdarzonych misją przewodzenia masom ludowym. Było wówczas rzeczą dla reakcji niedogodną popierać wobec tego literaturę poświęconą bojownikom o prawa ludu.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w roku 1918 sytuacja

zasadzie się nie zmieniła. Beletrystycznego ujęcia doczekała się jedynie postać księdza Brzóska, ostatniego powstańca na Podlasiu, poza tym wyszła tylko rzecz Wołoszynowskiego „Rok 1863“. Rozumiemy przyczynę niechęci sanacyjnej administracji kulturalnej i wydawców do prób literackich w tym zakresie. Rządy pomajowe zajmowały się wyłącznie propagandą legionów Piłsudskiego; przecież zwalczały one nawet obchody konstytucji 3 Maja! Zaś wydawnictwa prywatne kierowały się opiniami prasie i w tzw. „salonach“, a więc w ośrodkach konserwatywnych, klerikalnych, najwyżej liberalnych. Pozytywka nakręcona przed laty przez ugodowców i zwolenników „pracy organicznej“ grała nadal nie to, co śpiewało w sercach ogółu, lecz powtarzała znane melodyjki Agatona Gillera, Walerego Przyborowskiego, Koźmiana, a nawet Rosjanina — reakcjonisty, Berga. W tych warunkach nie mogło być mowy o sprzyjaniu monografiom lub powieściom nawiązującym do polskich tradycji rewolucyjnych. Wiedziano, że Sierakowski i Szwarce byli zwolennikami przekazania ludowi ziemi folwarcznej; drugi z nich — na dobitkę — zaznaczył

ANDRZEJ KUŚNIEWICZ

Ataman

Pamiętam doskonale, gdy zimą 1939 zjawiał się w Paryżu. Było to w rosyjskiej restauracji w okolicy metra Marbeuf. Krepki, kanciasty, jak zawsze nieogolony, zamaszty. Powitały go przyjazne okrzyki: „Ataman! Jak się masz, kiedyś przyjechał?“ Takie miał przewzisko wśród przyjaciół i znajomych. Zawdzięczał je tematyce ukraińskiej swojej poezji.

Ataman przeszedł kilka burzliwych etapów w swym życiu i w swej twórczości. Urodzony w dawnych kresach północno-wschodnich spędził lata dzieciństwa na Kubaniu w czasie rewolucji. Wyniósł z tamtych stron na zawsze już chyba swoją „ukraińską miłość“. Jak sam mawiał „upił się czarnomorskim wiatrem i nie wytrzeźwiał do teraz.“

Osiadł potem w Lublinie. Przeszedł krótki, burzliwy okres rewolucyjny, komunizujący, opancny aresztowaniami i konfiskatą tomików wierszy. Potem zrobił z wielkim hałasem gwałtowną woltę polityczną, obwieszczając „urbi et orbi“ w najpoczytniejszym tygodniku literackim tamtych czasów — „Kasus Ataman“,

się jako ostry przeciwnik polityki watykańskiej. Jednego tylko Romualda Traugutta usiłowano w paru broszurkach „nawrócić“ — posmiertelnie na łonę reakcji; jednakże już choćby i historycznych prac prof. Adama Szelągowskiego wynikało, że z chwilą objęcia dyktatury Traugutt poszedł drogą wskazaną przez pierwszych organizatorów warszawskiej rewolucji, a więc przez tzw. „czerwienców“.

Jeszcze bardziej kłopotliwe prawdy wynikały dla obozu konserwatywnego z faktu, że najwybitniejsi uczestnicy i organizatorzy powstania Styczniowego znaleźli się na emigracji po stronie lewicy: gen. Józef Hauke-Bosak „kompromitował się“ radykalnymi broszurami i zginął w roku 1870 w armii rewolucjonisty Garibaldi, a Dąbrowski i Wróblewski zostali dowódcami robotniczych batalionów Komuny Paryskiej w roku 1871. Późniejsza współpraca Wróblewskiego z Marksem i Engelsem w I Międzynarodowce ostatecznie wpłynęła na pograżenie również i tej pięknej postaci w niepamięć. Kłókolwiek zapisał się w naszych dziejach „karczowaniem puszczy politycznej i społecznego zacofania“ — są to słowa Żeromskiego — niewiele posiadał szans na odzycie

w postaci bohatera powieściowego. O ludziach tych pisano skąpo nawet w rozprawkach ściśle naukowych; niekiedy tylko wyrwały ich z niepamięci wzmianki w pismach Żeromskiego.

Przy takim stanie rzeczy byłoby krzywdzące oskarżenie współczesnego pisarza o tzw. „ucieczkę w historię“ od rzeczywistości. Pionierski charakter prac Józefa Kowalskiego („Rewolucyjna demokracja rosyjska a powstanie Styczniowe“), Leona Przemskiego („Kamieniecki“ i „Edward Dembowski“) Pawła Jasienicy („Biały front“) tudzież powieści Tadeusza Łopalewskiego i moich — chyba nie ulega wątpliwości. Rozprawa ze sfałszowanym obrazem przeszłości jest w toku i posiada ogromne znaczenie dla społeczeństwa dzisiejszego. W wieku XIX dokonany był posiew, z którego wyrasta nam teraz „ojczyzna chleba i pracy“. Ze zrozumienia umyślnie dawniej przecoczonych wypadków i ludzi ubiegłego stulecia budujemy przeświadczenie, że nowe formy ustrojowe nie zostały narodowi narzucone, że zrodziły się one z podeptanej, lecz wspaniałej tradycji.

skim słowem pisany. Tępy żandarm w randze kapitana, polski komendant obozu, w którym przebywał Ataman, przeraził się nie na żarty. Usiłował grupę literatów i malarzy wziąć „za twarz“. Ataman bronił się, sypał zjadliwymi fraszkami jak z rękawa. Znalazł nakładcę na swoje wojenne wiersze. Wydała je tyszkiewiczowska „Oficyna Nicejska“.

Mieliśmy z Atamanem odmienne poglądy na zagadnienie ukraińskie, toteż nasze dyskusje przerażały się nierzadko w kłótnie. Ataman zgadzał się na oddanie ziem wschodnich po San i Bug Ukrainie, ale Ukrainie Mazepińskiej, związanej z Polską jakimś legendarnym braterstwem broni skierowanej przeciwko Rosji. Marzył o wyjeździe na Kuban, o „skrzyknięciu braci Kozaków“, fantazjował.

W 1941 przeszedł Pireneje w towarzystwie przyjaciela, z braunینگiem w jednej kieszeni, z rulonem rękopisów w drugiej. Aresztowany, przesiedział długi czas w więzieniu w Las Figueras. Nauczył się po hiszpańsku i chwalił się, że tłumacząc Cervantesa w więziennej celi — czasu nie zmarnował.

I oto po wojnie przemówił do nas z radia Madryt. Gdy usłyszałem jego zachrypły wrzask pełen wyzwisk, których nie powstydziliby się pijany banderowiec, nie zdi-

STANISŁAW STRUMPH WOJKIEWICZ

Z mojego pisarskiego warsztatu

„Bitwa“ o Paryż, powieść o emigracji polskiej z lat 1870—71, właśnie ukazała się w księgarniach, opowiadania dla młodzieży z roku 1863 pod tytułem „W służbie wolności“ idą do druku, a dużą powieść o Romualdzie Traugucie zapewne niedługo ukończę. Książki te uzupełnią trzy już wydane pozycje — „Generał Komuny“, „Opowieść o Bronisławie Szwarce“ i największą z nich, pięćsetstronicową powieść „Sierakowski“, wychodzącą tej wiosny w drugim wydaniu.

Czytelnicy tych powieści łatwo spostrzegają, że bohaterzy ich odznaczają się wielkimi zdolnościami, ogromną pracowitością i niezwykłą szlachetnością. Do generacji Sierakowskiego należą wspańnięte postaci Jarosława Dąbrowskiego, Walerego Wróblewskiego,

Józefa Hauke-Bosaka, Bronisława Szwarce, Stefana Bobrowskiego... Powstaje pytanie, dlaczego o tych ludziach, podobnie jak i o Romualdzie Traugucie, było tak głucho w dotychczasowej beletrystyce polskiej? Garść historycznych opracowań i broszurek o charakterze wspomnieniowym — oto wszystko, czym przedwojenne piśmiennictwo pokwitowało wielką narodową i społeczną zasługę „czerwienców“. Pisząc „Generała Komuny“, „Opowieść o Bronisławie Szwarce“ i „Sierakowskiego“ nie znalazłem żadnej poważniejszej monografii; materiały należało wynajdywać i zbierać samemu. Podobnie jest z „Trauguttem“.

Otóż trzeba wiedzieć, że zaraz po powstaniu 1863 roku pamiętnikarze i historycy wszczepli prawdziwą naganę na ludzi, którzy na-

włem się zbyt. Mętnik w głowie w połączeniu z kultem dla legend i sily nie pchnęły go w objęcia faszyzmu tylko dlatego, że faszyzm reprezentowali dla nas Niemcy oraz z tej przyczyny, że Ataman był organicznie niezdolny do poddania się jakiegokolwiek dyscyplinie myślowej czy organizacyjnej.

Nie zdziwiło mnie również, gdy

WITOLD LUBICZ

K r ó t k a p a m i ę ć

Głęboko wryte jest w naszej pamięci pogodne niebo polskie we wrześniu 1939 roku. Z tego błękitnego nieba lał się wówczas ogień, spadała na naród śmierć, od której nie było obrony. Wtedy pytaliśmy z przerażeniem: gdzie są nasze samoloty? Gdzie są „Łosie“, „Karasia“ i „Jastrzębia“, na których temat propaganda Rydzas-Śmigłego piała zachwyty?...

W ostatnim numerze paryskiej „Kultury“ znajduje się artykuł, który daje na to — historyczne już dziś — pytanie dobitną, jakkolwiek niekompletną odpowiedź. Autorem artykułu jest generał Ludomił Rayski, do marca 1939 roku pełniący funkcję dowódcy Sił Lotniczych. Rayski twierdzi w artykule, że miał wówczas odwagę postawić przed swoimi zwierzchnikami na ostrzu noża skandaliczną kwestię braku rozbudowy polskiego lotnictwa, mimo widocznego już niebezpieczeństwa wojny i, że został w związku z tym natychmiast zwolniony ze stanowiska. W rzeczywistości było inaczej, pan Rayski sam był jednym z głównych winowajców tego stanu rzeczy — co mu niniejszym nawiasowo przypominamy. Niezależnie od tego komentarz jego wydaje się bardzo interesujący.

Rayski umieścił w „Kulturze“ krytykę wydanego teraz w Londynie I tomu książki p. t. „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej“. Dzieło opracowała tzw. Komisja Historyczna Polskiego Sztabu Głównego, pod kierownictwem gen. Kukiela. We wstępie tej książki autorzy zapewniają, że dzieło to „musi być dokumentem bezwzględnej prawdy historycznej“.

Rayski pisze:

„Czy autorzy sprostali tej obiecującej zapowiedzi pisania pełnej prawdy? Oto trzy sprawy zagadkowe, o kapitalnym znaczeniu, które zostały przez autorów po prostu przemilczane.

Są to: 1) Sprawa przygotowań

przeczytałem, jak odzępuje się od posadzeń o „półrealizm“, pisząc, że w południowej Andaluzji może doskonale oderwać się od rzeczywistości zbłąkany w epokę kalifatu w Cordobie.

Myślę, że może czasem żałuje pomylonego, zmarnowanego życia i talentu odrywanego siłą od teraźniejszości. Jak żałował czasem po pijanemu zdradzonych ideałów

w przemyśle lotniczym i w uzupełnieniach materiałowych, gdy groziła wojna.

2) Sprawa tak zwanej pożyczki lotniczej.

3) Sprawa oddania niezniszczonych fabryk lotniczych w ręce Niemców.“

Z kolei autor rozpatruje szczegółowo każdą z tych spraw. Choć czytało się i słyszało już niejedno o źródłach i kulisach klęski wrześniowej — studiując ten komentarz Rayskiego, człowiek znów czuje palący wstyd za kierowników ówczesnego państwa i wielką, jak tamta przeżyta klęska, pretensję do tych karłów i zdrajców.

Dalej Rayski pisze:

„Po moim odejściu nie nastąpiło wzmożenie produkcji lotniczej. Wręcz przeciwnie: produkcję bieżącą zahamowano. Mianowicie, obcięto zamówienie na 180 „Łosie“, będących w produkcji. „Łosie“ należały wtedy, w swojej klasie, do najlepszych samolotów na świecie. Otóż, produkcję tych właśnie samolotów — obcięto. Polski przemysł lotniczy był chyba jedynym przemysłem wojennym w Europie, który wówczas zwalniał robotników masowo.“

„Drugą sprawą przemilczaną, w książce naszych dzisiejszych historyków emigracyjnych, jest sprawa pożyczki lotniczej. Naród polski zadeklarował pół miliarda złotych na cel rozbudowy lotnictwa polskiego. Uruchomienie kredytów na rachunek tej pożyczki było nietrudną operacją finansową. Czy tej operacji dokonano? Jeżeli nie — to dlaczego? Jeśli tak — to gdzie jest rozliczenie z sum uruchomionych? Niczego nie insynuuję, ale jeśli choć jeden grosz poszedł na inne cele niż lotnictwo, jest to bezprawie

młodości. Ataman jest typem drobnozłacheckiego krzykacza-zabijaki z czasów saskich, przechodzącego od jednego magnata-patrona do obozu jego przeciwnika. A jak wiemy, była to epoka, gdy branie pieniędzy od przedstawicieli „wrogich potencji“ na zgubę własnego kraju było faktem tak prostym, jak wypicie kwarty wódki na sejmiku w Berdyczowie.

i nadużycie zaufania społeczeństwa polskiego“...

„Trzecie z kolei przemilczenie uważam za równie charakterystyczne jak dwa poprzednie. Nie powiedziano bowiem czytelnikom, czy zostały zniszczone wyłącznie lotnicze przedsięwzięcia ich przez Niemców w wyniku walk wrześniowych? Książka milczy, fakty mówią, że nie... A co się stało z prototypami? Tym bardziej, że słynny późniejszy samolot niemiecki „Fokke Wulf“ był bardzo podobny do polskiego „Jastrzębia“.

Przypominając te hańbiące rzeczy, Rayski ciągle dopytuje się autorów książki, dlaczego o nich nie piszą? Wydaje się, że jednak Rayski rozumie, o co chodzi — choć nie chce tego wyraźnie powiedzieć i dalej pisze delikatnie:

„W przygotowaniu lotnictwa zbyt wiele doskonałych ról odegrał brak rozumu, bo to nie budziło refleksji na temat ewentualnego reżysera. Czyżby właśnie te narzucające się refleksje skłoniły autorów książki do przemilczeń? Jeśli tak, to złą przysługę wyświadczają przyszłemu pokoleniom, ukrywając przed nimi nasze doświadczenia“.

Nie potrafimy być tak delikatni, jak generał Rayski i postawimy w tej sprawie kropkę nad i. Jak się wyraził Jan Szelaż, teraz idzie na emigracji na wiele rąk roboty wybielania podłej i małej przeszłości sanacyjnej. Jak wiadomo generał Anders wręcz pochwalił w Manchesterze tę przeszłość. Gdyby udało się tej sztuki dokonać, góra emigracyjna chętnie przemieniłaby klęskę i hańbę wrześniową we wrześniowe zwycięstwo.

I nie trzeba się ludzić, że tym skompromitowanym politykom należy na demonstrowaniu doświadczeń przeszłości dla nauki nowych pokoleń. To my, tu w kraju wyciągnęliśmy wszystkie wnioski z tych doświadczeń — a nie oni. Widać mają krótszą niż naród pamięć.

TOMASZ DOMANIEWSKI

F a r y z e u s z e

„Probierz czasów“. Pod takim tytułem ukazał się w noworocznym „Życiu“ artykuł wstępny. Tradycyjne artykuły wstępne drukowanych pierwszego stycznia są jednokrotne na całym świecie: pismo omawia rok ubiegły, snuje przewidywania na rok nowy i — oczywiście — składa życzenia czytelnikom.

Jak przystało na tygodnik katolicki, „Życie“ rozpoczyna artykuł antyfoną do Najświętszej Marii Panny i pokrótce omówiwszy problemy liturgiczne związane z Nowym Rokiem — przechodzi do sedna sprawy. Do życzeń:

„Jak najszerzej rodakom naszym na obczyźnie należy życzyć owej pomyślności i powiększenia społeczeństwa, ale nie można przy sposobności nie zwrócić uwagi na to, że dobrobyt materialny tylko wtedy spełnia swą rolę, gdy służy dobrobytowi moralnemu i kulturalnemu. I że pociąga on za sobą poważne obowiązki zarówno rodzinne jak i szersze, społeczne.“

Hm... szersze obowiązki społeczne. To znaczy, że społeczeństwo liczy na ofiarności tych, którzy znajdują się w dobrobycie. To znaczy dalej, że londyńskie pismo wyzwa zamożniejszych uchodźców do pomagania uboższym. No i ci zamożniejsi nie bardzo chcą dawać. Potwierdza to dalsza lektura artykułu „Życia“:

„Ludzie ci odchodzą bowiem od wiary i od polskości, zapominają o wychowaniu po katolicku i po

polsku swych dzieci, nie chcą dać ani grosza na cele polskie...“

Tak, nie chcą dawać, zamknęli swe szkatuły. To smutne. Zamożnych emigrantów nie obchodzi niedola ubogich rodaków. To gorzej niż smutne — to wystawia najgorsze świadectwo emigracyjnemu społeczeństwu. Czyż więc naprawdę jest tak źle?

Nie, jeszcze nie jest najgorzej, bo dalej czytamy w artykule:

„Olbrymiam większość ludzi mających otwarte uszy, serca i kieski na wszystkie apele społeczne, ludzi niezamożnych, często obarczonych wielkimi rodzinami, gorąco reaguje na wszystkie nasze potrzeby, spiesząc z ofiarą w czasie i groszu.“

Zaraz, zaraz... Bogaci nie chcą dawać ofiar na biednych, a biedni... Biedni dają ofiary. Na kogo? Na biednych? To znaczy na samych siebie. Coś tu nie jest w porządku z logiką. I co się dzieje podczas owej manipulacji z tymi ubożuchnymi ofiarami biedaków? Gdzie się podziwiał ów wdowi grosz?

Odpowiedź na to znajdujemy nieco dalej. Brzmi ona zupełnie niedwuznacznie:

„Może sobie oni nawet nie zdają sprawy jak dalece na nich i nimi stoi wiele polskich spraw ogólnych na emigracji.“

Polskich spraw ogólnych... Tu wychodzi szydło z worka. Na to są potrzebne owe grosze, centy, pensy i centymy. Bo oczywiście, pod terminem „polskie sprawy ogólne“ nie rozumie chyba „Życie“ szkolnictwa na obczyźnie, akcji kultu-

ralnej, czy akcji pomocy najbiedniejszym.

Chodzi o „sprawy ogólne“, czyli Zjednoczenia, Egzekutywy, Rady, Komitety i Grupy, których tyle na emigracji. Chodzi o fundusze na działalność dla tych wszystkich emigracyjnych polityków, którzy pracować nie chcą, a zbyt byli nieudolni, aby dorobić się na sprawach takich jak bergowskie.

Jasne, że na ubogich, szerokiej masach uchodźczych stoją owe „ogólne sprawy polskie“. Jasne, że nimi się wygrywa wszystkim gry i gierki między stronnikami. A że szerokie masy nie zdają sobie z tego sprawy... Jasne, że sobie nie zdają. Gdyby sobie zdawały — znikąd nie wpłynąłby ani grosz na „ogólne sprawy polskie“.

My jednak tutaj, w Polsce, nie możemy zrozumieć, jak można w ordynarne próby wyłudzenia pieniędzy mieszać święte dla każdego katolika sprawy religii i wiary. Jak można — wnosząc antyfonę do Najświętszej Marii Panny — sięgać jednocześnie do kiesek maluczkich. Jak można — według starożytności — modlić się pod figurą, a mieć diabła za skórą.

To obłuda iście faryzejska. I aby nikt nie miał wątpliwości — „Życie“ kończy artykuł następującymi życzeniami:

„Życzymy wszystkim rodakom na obczyźnie, aby rok obecny był dla nich jak najpomyślniejszy i aby przy jego końcu mogli z zadowoleniem stwierdzić, że się ze swojej dziesięciny polskiej wścili.“

Oto kwintesencja. Niech się wam jak najlepiej powodzi, abyscie wytrzymali haracz, który musicie nam płacić.

Zaprawdę, lepiej było za czasów biblijnych, kiedy to niektórzy przynajmniej łotrowie nawracali się

nego przemysłowca nie zostało zapomniane. Pamięta się je nie tylko w Łodzi, ale i na warszawskiej Woli z racji przedsiębiorcy, której głównym akcjonariuszem był pan Heyman-Jarecki.

Rola, jaką odgrywał w przemyśle Polski przedwojennej pan senator — zresztą syn również znanego przemysłowca — nie była poślednia. Nic też dziwnego, że pamiętając to głośno wśród przemysłowców Polski przedwojennej nazwisko i wiele jego publikowanych wówczas wypowiedzi, ze szczególnym zainteresowaniem śledzimy treść cytowanych w „Kulturze“ opinii pana Jareckiego.

Niejednokrotnie wielu ludzi w kraju utyskuje na prymityw działalności niektórych naszych propa-

JÓZEF KUROIPIESKA

Poglądy pana senatora

Interesującym na emigracji wydarzeniem było ogłoszenie przez redakcję „Kultury“ ankiety: „Czy przemiany gospodarcze i społeczne, które w okresie 1944—1954 nastąpiły na terytorium przedwojennego Państwa Polskiego i na Ziemiach Odzyskanych — są odwracalne?“

Z oświadczenia redakcji wynika, że „chodziło o uzyskanie możliwie najbardziej obiektywnych opinii, które stanowiłyby przyczynek do wyjaśnienia problemu tych przemian“. Pomysł swój redakcja uważa za sensowny, ponieważ „jest w polityce rzecz, która zawsze ma

realne znaczenie... Ta rzeczą jest prawidłowy sposób myślenia“. Istotnym jednak celem ankiety „jest ujawnienie sposobu myślenia naszej emigracji w sprawie zasadniczego stosunku do przemian, które nastąpiły w kraju w ostatnim dziesięcioleciu“. W ankiecie bierze także udział pan Aleksander Heyman-Jarecki, ujawniony w spisie jako były senator. Wydaje mi się, że byłoby bliższe prawdy, gdyby ten tytuł był poprzedzony dopiskiem: przemysłowiec. W kraju mamy jeszcze zbyt wielu ludzi o dobrej pamięci i nazwisko tak głoś-

TEŻ COS WIEDZA

Kogo reprezentuje pan Zygmunt Nowakowski? Pana Zygmunta Nowakowskiego i „Dziennik Polski”, prywatną inicjatywę handlową.

Czyje interesy i poglądy reprezentuje „Dziennik Polski”?... Pana Leszka Kirkiena...

Sądzić może, że to zdanie wyszło spod pióra Zbigniewa Florczaka, lub któregoś z jego redakcyjnych kolegów.

O nie, panowie — cytujemy je za emigracyjnymi pismami: „Mercuriuszem” i „Życiem”. Na emigracji ludzie też przecież coś wiedzą o panu Zygmuncie Nowakowskim, tak zwanym „Dzienniku Polskim” i jego dyrektorze, Leszku Kirkieniu.

DOBRE WYCHOWANI

W rubryce humoru „Polish Daily” — niewybrednego zresztą i wulgarnego humoru — czytamy:

„Idee — rzecz, którą należy starannie ukrywać w dobrze wychowanym środowisku.”

Z tego punktu widzenia środowisko „Polish Daily” jest wyjątkowo dobrze wychowane.

SAMI O SOBIE

Endecy wydają czasopismo pod obowiązującą nazwą „Myśl Polska”. W związku z ostatnimi wystąpieniami czołowych polityków endeckich na łamach owego pisma, mikołajczykowski „Narodowiec” stwierdza nie bez słuszności:

„Myśl Polska... łądzi mirażami zbliżającej się wojny, byle tylko zostawić wrażenie, że coś się robi dla sprawy polskiej. Tymczasem miele się plewy.”

Teraz wystarczy tylko zasięgnąć opinii „Myśli Polskiej” o „Narodowcu”, by mieć bliski prawdy pogląd na działalność i „Myśli Polskiej” i „Narodowca”.

SCHYŁEK KOMUNIZMU

Tak powiedziała „Freies Europa”. Nie to dziwne nawet, że to powiedziała. To odważna radiostacja. Żadna prawda jej nie przeraża.

To śmiała radiostacja, jeśli mówi: „Komunizm znajduje się już w swojej fazie schyłkowej...”

Stwierdzenie powyższe „Freies Europa” wygłosiła 4 stycznia. Brzmiało ono — powtórzmy je raz jeszcze:

„Komunizm znajduje się już w swojej fazie schyłkowej...”

Zostało to powiedziane nie kiedy indziej, ale 4 stycznia.

To znaczy w dniu, w którym ogłoszono wyniki wyborów we Francji.

MICKIEWICZ I INNI

Wiele przed wojną krążyło po Polsce tajnych anegdot o Piłsudskim. Jedną z nich mówiła o zarozumiałstwie dyktatora.

Piłsudski — nie w rzeczywistości, ale w tej anegdocie — pojechać miał do Jerozolimy i tu zamierzał złożyć wieniec na grobie Chrystusa. Adjuvant zaproponował na wieńcu szarfę z napisem:

„Zbawicielowi świata — zbawiciel Polski”.

Piłsudski pokręcił głową. Przekreślił i napisał:

„Pierwszy Marszałek Polski drugiej osobie Trójcy Przenajświętszej”.

Ten drugi napis przypomina zamieszczone w prasie emigracyjnej ogłoszenie o wydanej przez pisarza emigracyjnych książce poświęconej Mickiewiczowi. Ogłoszenie to brzmi tak:

„Książka jest holdem złożonym największemu poecie polskiemu i wodzowi duchowemu Wielkiej Emigracji przez 32 wybitnych pisarzy nowej emigracji, którym wypadło jak jemu opuścić Kraj i żyć i tworzyć na obczyźnie.”

W ten oto prosty sposób współautorzy tej książki, tacy pisarze jak Kiernowski, Fierla, ks. Kantak, Zywna i Lanckorońska dorównali Mickiewiczowi. A może go i przewyższyli.

Jest sposób na zostanie geniuszem — iść na emigrację.

MR. WOODRUFF ODKRYWA „WOLNĄ EUROPE”

Angielski publicysta Douglas Woodruff, publikując na łamach tygodnika „The Tablet” serię artykułów o Niemczech zachodnich, pisze między innymi o swoich wrażeniach z pobytu w Monachium:

„Radio «Wolna Europa» jest prywatną spółką ludzi różnych narodowości. Zatrudnia 1400 osób. Kierownictwo jest amerykańskie, rozgłośnia jest subsydiowana przez osoby prywatne, obywateli amerykańskich.”

Mr. Woodruff nie wymienia nazwisk tych „prywatnych Amerykanów”. Widocznie z obawy przed zdemaskowaniem ich jako „niebezpiecznych agentów komunistycznych”, bo jakże inaczej Komitet do

Spraw Działalności Antyamerykańskiej nazwałby ludzi finansujących rozgłośnię, która, jak pisze Mr. Woodruff:

„Ostrzega ludzi w krajach za żelazną kurtyną, że jeśli zbiegną na Zachód, nie będą zachwyconym nowym życiem, przez długi czas będą traktowani z nieufnością, przekonają się jak ciężko im będzie znaleźć i utrzymać pracę, jak trudno będzie znaleźć kraj, który by ich przyjął na stałe. Czynnione są wielkie wysiłki celem namawiania ludzi do powrotu, co już wielu zawiedzionych uchodźców zrobiło.”

A nam się dotąd wydawało, że radio „Freies Europa” trudni się wyciąganiem ludzi z ich krajów ojczystych i podmawianiem do zdrady własnego narodu.

Patrzcie, jak to się można pomylić. Teraz już wiemy, że te audycje i te baloniki — to wszystko po to, żeby ostrzec ludzi przed — jak się wyraził Mr. Woodruff — trudnym i nie wzbudzającym zachwyty życiem na Zachodzie.

HOSTOWIEC DZIWI SIĘ

Pan Hostowiec dziwi się. W styczniowym numerze „Kultury” pisze:

„Słyszałem od przyjezdnych, że nie widują się z Miłoszem, jakkolwiek nikt nie miał mi objaśnić przyczyn tego ostracyzmu.”

Ci przyjezdni — to liczni pisarze, dziennikarze i inne osoby z Polski, wyjeżdżające za granicę. Przyjezdni nie chcieli tłumaczyć p. Hostowcowi, dlaczego nie widują się z Miłoszem. No cóż, pewno nie chcieli dokuczać Hostowcowi, który Miłosza uwielbia. My sądzimy, że Polacy z kraju nie chcą widywać się z Miłoszem, bo czują dla niego po prostu pogardę, że brzydzą się nim i tym, co zrobił i co robi. Trudno im nakazywać, by postępowali wbrew swym uczuciom.

Natomiast przy okazji chcielibyśmy prosić p. Hostowca, ażeby nam wyjaśnił, dlaczego to Miłosz na emigracji jest bojkotowany. Pisma nie drukują jego prac, nie recenzują jego książek. Poza paryską „Kulturę” Miłosz nie wychodzi. A ostatnio w plebiscycie „Wiadomości” na Miłosza nie padł ani jeden głos, albo też Grydzewski nie wydrukował, że ktokolwiek na Miłosza głosował.

Ciekawa historia z tym Miłoszem. Czyżby może i na emigracji nim się brzydzili? Proszę nam to wyjaśnić, drogi panie Pawle.

Nie zdziwi nas teraz i takie zarzecenie p. Jareckiego:

„Po usunięciu okupacji bolszewickiej nie należy znosić bolszewickiego ustroju gospodarczego etapami i trwożliwie. Powinno się wydać ustawę, znoszącą wszystkie przepisy gospodarcze wprowadzone przez okupanta i przywrócić w tej dziedzinie stan prawny, który istniał przed wrześniem 1939.”

Jesteśmy świadomi, że opinii byłego senatora Jareckiego nie podziela cała emigracja, że jest to opinia krańcowa. Pamiętamy jednak hasła ankiety: „w polityce rzecz, która zawsze ma realne znaczenie — to prawidłowy sposób myślenia.”

Zapewne, zgodnie z przekonaniem redakcji, warunek ten został spełniony i przez p. Jareckiego — w innym wypadku opinie jego nie byłyby rozważane i komentowane.

Zanalizujmy więc ten „prawidłowy sposób myślenia”. W jakiej mierze i formie stan prawny z 1939 roku może być przywrócony na Mazurach, Opolszczyźnie, w Gdańsku i Szczecinie? Czy księżęta von Pless i hrabiowie Donnersmarck mają również doznać dobro-

dziejstw wynikających z reprowtyzacji pomyslanej przez p. Jareckiego? Czy kapitaliści zagraniczni, jakis Harriman, Flick, wielcy posiadacze von Pless i Donnersmarck mają wrócić do swoich fabryk, przedsiębiorstw i latyfundiów? Trudno, by ktokolwiek z nas zastanawiał się poważnie nad praktycznymi wnioskami wypływającymi z rozważań p. senatora. P. Heyman-Jarecki, który posiada niepowседневnie wykształcenie, jakby nie chciał pamiętać, że chłop francuski posiadłszy ziemię w okresie Wielkiej Rewolucji — nie oddał jej w epoce Restauracji.

I dziś nie ma takiej siły która by mogła przywrócić stan posiadania z 1939 roku w setkach osiedli i miast polskich — nie mówiąc o 600 tys. chłopów, którzy otrzymali upragnioną ziemię z reformy rolnej w latach 1944—1946.

Możemy powiedzieć: wszystko się zgadza — nasze pojęcia o stosunku kapitalisty do postępu socjalnego nie zawierały ani krzty przesady. A co ważniejsze: wydaje się nam, że wsteczny pogląd p. Jareckiego wcale go nie kompromituje w oczach emigracji. Tam tacy ludzie cieszą się raczej szacunkiem.

wać zaciąg pionierski młodzieży. Trzeba na gwałt uruchamiać fabryki maszyn rolniczych, żeby ziemia nie leżała odłogiem i żeby w porę zebrać plony. Ba, reżim musi sprowadzać ziarno zza granicy, bo tak się ten naród rozszuchwał, że chce jadać do syta.

Co ten reżim narobił!

A propos. Czy nie uderzyło was ostatnio, że prasa emigracyjna obok niewymyślnych epitetów zamieszcza również wiadomości o tym, co w Polsce istotnie się dzieje? Czy nie zastanowiło was, dlaczego to robi?

Możemy wam to wyjaśnić. Otóż w ciągu tych jedenastu lat przewinęły się przez nasz kraj setki zagranicznych dziennikarzy i polityków. Widzieli nasze początki i porównują z nimi nasze osiągnięcia. I coraz więcej znaleźć można w prasie zachodniej interesnych informacji o Polsce. To właśnie zmusza polityków emigracyjnych do zamieszczania w swej prasie niektórych wiadomości.

I oto wbrew swej woli nadają nowy blask słowu „reżim”, które po prostu oznacza ustrój. Ustrój, który każdemu człowiekowi pracy stwarza warunki, na jakie nas stać w tej chwili i których poprawa, stała poprawa — zależy od nas samych.

gandzistów, głoszących w niewyszukanej formie, że obszarnicy pragną powrotu do folwarków, a fabrykanci do swych dawnych zakładów — co niektórym naszym rodakom wydaje się już wręcz niedorzeczne. Okazało się, że twierdzenie to odpowiada prawdzie, czego dowodem mogą być cytowane w „Kulturze” opinie pana senatora.

Pan Heyman-Jarecki jest zdecydowanym zwolennikiem całkowitej i natychmiastowej reprowtyzacji przemysłu w niewiele dni po uroczystym wjeździe „białego konia” do kraju. Nie dość na tym — protestuje nawet przeciwko użyciu przez redakcję „Kultury” takich pojęć, jak przemiana i reforma. „Pokrywanie gwałtów i grabieży uprzejmym słowem „reforma” jest wysoce szkodliwe” — powiada p. Jarecki. Nacjonalizacja banków, przemysłu i reforma rolna — cel postępowych bojowników wielu pokoleń — są dla pana senatora, tracącego swój majątek, jedynie „gwałtem i grabieżą”. Czyż nie należy być wdzięcznym panu senatorowi za takie sformułowanie? Trudno o jaśniejszy wyraz stanowiska pewnej części emigracji.

KAZIMIERZ GOLDE

Co ten reżim narobił!

Wydawało by się — niewinne słowo „reżim”. Przetłumaczone na język polski znaczy „ustrój”. Ale w nomenklaturze pism emigracyjnych przybiera ono znaczenie wręcz diaboliczne. „Reżim” jest symbolem wszelakiego zła. On to sprawia, że fabrykanci i bankierzy, którym tak dobrze się działo w Polsce przedwojennej, teraz klepią bide. On to sprawił, że znakomici stratedzy zaleszczyckiej szosy rozgrywać muszą teraz wielkie gry wojenne w londyńskich knajpach. „Reżim” pozbawił kamieniczników złotego jabłka, jakim mogłoby stać się komorne w latach powojennych zniszczeń. I „reżim” wywłaszczył Potockich i Zamojskich — tych przez Y w środku nazwiska — z dziesiątków tysięcy hektarów.

Okrutne słowo „reżim”. Straszy się nim na emigracji dzieci, zapominające już języka ojczystego, a także chłopów i robotników rozsiadanych po hostelach i na próżno oczekujących zapowiadanej wojny. Wszystkiemu winien „reżim”. Ale oto, co czytamy w prasie emigracyjnej, od „Narodowca” do „Dziennika Polskiego”:

„reżim warszawski postanowił rozbudować sieć szkół,

reżim warszawski opracował plan rozwoju przemysłu na ziemiach zachodnich,

reżim warszawski zamierza oddawać do użytku 160 tysięcy izb rocznie,

reżim warszawski elektryfikuje koleje,

reżim warszawski otworzył teatr w Nowej Hucie,

reżim warszawski wybudował w stoczniach 168 statków pełnomorskich o łącznym tonażu 300 tysięcy ton,

reżim warszawski namawia do powrotu do kraju wszystkich Polaków i zapewnia im pracę w ich zawodzie,

reżim warszawski boleje, że dzieci polskie wynaradawiają się”.

Pomyślcie dobrze — reżim ma kłopoty. Poważne kłopoty. Oto na wsi daje się odczuwać brak sił roboczych. Rozwój przemysłu — oczywiście nakazany z Moskwy — sprawił, że na wsi brak rąk do pracy i trzeba na gwałt organizo-

JĘZYKOZNAWSTWO I NIECO WIECHA

„Słowo „oszolomiony“ oznacza człowieka, który po raz pierwszy przywdział szłom — hełm żelazny na głowę i nie bardzo jest pewny siebie z niepo-
miernym na ciemieniu ciężarem.“

To zdanie nie jest tym razem zaczerpnięte z czasopisma jak przystało na tygodniowy przegląd prasy, ale z książki Żeromskiego pod tytułem „Snobizm i postęp“. A dlaczego? Bo takie zapewne uczucie oszolomienia towarzyszyło pani Zofii Kozarynowej, gdy pisała artykuł dla londyńskich „Wiadomości“. A pisała o języku prasy krajowej — więc językoznawczy cytat Żeromskiego jest chyba zupełnie usprawiedliwiony.

Pani Kozarynowa jest wyraźnie oszolomiona tym, co czyta w naszych gazetach; nie rozumie słów, dziwi się, stawia znaki zapytania i sugeruje pogląd, że język prasy krajowej to raczej jakieś esperanto niż klarowna, piękna polszczyzna. Autorka nie chwali, co prawda, zbyt otwarcie znanych powszechnie dziwactw językowych, jakie wyległy się na obczyźnie, ale i nie pochwała też wielu słów, które skrzętnie wynotowała z gazet krajowych. Gdyby szło o drobne nazwy i niektóre pojęcia nie spieralibyśmy się z panią Kozarynową, bo i nam różne naleciałości cechujące język dziennikarski nie zawsze przypadają do gustu. Ale pani Kozarynowa wypowiada mimo woli prawdę o głębokiej przepaści, jaka powstaje między Polakiem na emigracji a społeczeństwem w kraju. I właśnie artykuł pani Kozarynowej jest tego wymownym świadectwem.

Zarówno autorka artykułu jak i wielu Polaków oderwanych od kraju zatraciło kontakt ze wszystkim, co w okresie powojennym powstało na ziemiach polskich. Stąd niezrozumienie potocznego żywego języka, który przecież najlepiej wyraża nowe rzeczy i sprawy dziejące się w Polsce.

*

*

*

„Chociaż sezon jest ciut-ciut nie sportowy, muszę nadmienić parę słów o naszych cyklistach, bo faktycznie spisali się po kawalersku. Rzecz jasna, że mówię o tym zwycięstwie w Egipcie, gdzie nasza drużyna na pierwszym podobnie miejscu od wczoraj zasuwa. Więkoszczak do jakiegoś tam Galluxu czy inzego miasta na czele wjechał. Jednym słowem Polska na razie leje wszystkie narodowości aż się dymi.“

I chociaż to dosyć daleko — podobnie w ciepłych krajach i własnoręcznie nawet przez telewizję zobaczyć tego nie mogę, w każdym bądź razie cieszy, że nie na darmo żeśmy tam paru zawodników i z pół setki sportowych prezesów posłali. Koszta są, ale opłaci się. A niezależnie opalą się troszkie faceci, faraonów zobaczą, a niejeden plażowe ciuchy żonie przywiezie, bo tam krugom lato.

Jedno mnie tylko martwi, że podobnie okolica niebezpieczna pod względem zakłócenia spokoju. Właśnie wczoraj przeczytałem w gazecie, że w nocy z 11 na 12 bm. wojska Izraela ostrzeliwały wojska egipskie z miotaczy min i broni automatycznej.

O co się rozeszło, detalicznie nie pisało. Ale po mojemu Izraelici mają do egipskich faraonów starożytną zadrę, z tych jeszcze czasów jak w niewoli się u nich znajdowali, coś około 40 lat.

Faraoni z niejakiem Ramzesem na czele, niemożliwą kazali jem tyrać przy budowie piramid, kina „Sfinx“ oraz w fabryce wyrobów gumowych. Deneji

„Wrębiarka“, „przenośnik“, „sitownia“ — pisze pani Kozarynowa — brzmią wcale ładnie, szkoda tylko, że nie wiemy, co to jest.

Otóż właśnie. Cały trud autorki, aby skolekcjonować przykłady szpetoty naszego języka, w większości wypadków rozbija się o tę właśnie nieznaną samych przedmiotów i pojęć charakterystycznych dla nowej rzeczywistości w kraju. I dlatego przy tej nieznaności naprawdę niepoważnie brzmią zarzuty sumiennej polonistki, która pisze jak przysłowiowy ślepy o kolorach.

Nasz język, proszę szanownej autorki, uległ niewątpliwie pewnym zmianom i będzie się dalej zmieniał w zależności od przemian zachodzących w samym życiu. I nic na to nie poradzą pseudolingwistyczne wypady krytyczne, że do potocznej mowy wkroczyły kombajny, snopowiązałki, odrzutowce i kombinaty. Tak jak nie zmieniają faktu najlepsi nawet puryści emigracji, że do lamusa językowego przeszły biedaszyby, bandosi czy odrobki.

Pani Kozarynowa artykuł swój kończy dość ryzykowną opinią:

„Prostota angielszczyzny w słowie pisany posunięta aż do ubóstwa, działa powściągająco na rodzimą skłonność do napuszonej retoryki.“

Autorka widocznie nie czyta zbyt często prasy emigracyjnej, dlatego taktownie nie zacytujemy przykładów, które mogłyby przyprowadzić o smutek zartroskaną o język polski polonistkę z londyńskich „Wiadomości“.

Skoro już w dzisiejszym przeglądzie prasy tak szeroko rozprawiamy o języku, oddajmy głos mistrzowi gwary warszawskiej — Wiechowi. Oto jego ostatni felieton drukowany w „Expressie Wieczornym“, pod tytułem „Starożytna zadra“.

placić nie chcieli, tylko kaszkie manne raz dziennie opychać jem dawali. No to rzecz jasna, że jednego razu Izraelici chodu przez Morze Czerwone do Tel Awiwu. I nic dziwnego, że jak sobie teraz te kaszkie przypomniał, z rozpylaczy do faraonów prują. Kto by zresztą był lepszy?!

Dobrze, zgadzam się. Ale co nasze chłopaki temu winne? Ani z piramidami, ani z manną nic nie mieli wspólnego, a mogą za ofiary nieostrożnej strzelaniny się zostać. Tamte się koniec końców pogodzą, odškodowanie zapłacą, albo interes na żone przepiszą, a my najlepszych kolarzy w szpitalu mieć będziemy i złote medale, a także samo nagrody honorowe cholera weźmie.

Gienia zwłaszcza jest niespokojna o Elka Grabowskiego. Kto to słyszał — mówi — dziecko w takie chuligańskie strony puszczać, gdzie mu krzywdę mogą zrobić?! Okolice piaszczysta, więc co najmniej oczy sobie chłopaczyna zaproszy i egipskiego zapalenia się nabawi.

Ja jej tłumaczę, że on musi jeździć, żeby się trenować.

— No to niech jeździ po Ujazdowskim Parku, jak inne dzieci, a nie po puszczy Saharze.

Ja się tam z nią nie sprzecam, bo to nic nie pomoże, ale w każdym bądź razie też uważam, że Rada Bezpieczeństwa powinna wpłynąć, żeby takie wybryki nie mieli miejsca, przynajmniej podczas zawodów sportowych.“